Pierwszy krok ku reformie systemu emerytalno-rentowego zakończył się potknięciem

Nadal brak woli politycznej

JANUSZ A. MAJCHEREK

Spór między wicepremierem Kołodką a ministrem Millerem o sposób waloryzacji rent i emerytur stał się pretekstem do publicznego wyrażenia — po raz kolejny — wielu opinii tyleż nieprawdziwych co demagogicznych. Nic dziwnego, sfera tzw. ubezpieczeń społecznych stała się w ostatnich latach jedną z najbardziej zmitologizowanych i zmistyfikowanych dziedzin życia społecznego i ekonomicznego. Nikt już nawet nie zastanawia się czy powszechnie powtarzane frazesy o ciężkiej i stale pogarszającej się doli emerytów i rencistów mają jakiekolwiek oparcie w rzeczywistości. Tym bardziej, że slogany takie świetnie nadają się do okraszania rozmaitych kampanii politycznych.

Wśród wielu mitów i przesądów dotyczących systemu emerytalno-rentowego, jeden odnosi się do przeszłości i głosi, że to komuniści sprzeniewierzyli składki gromadzone w ciągu dziesięcioleci przez obecnych klientów ZUS i dlatego stale brakuje pieniędzy na wypłacane dziś świadczenia. Komuniści mają na swoim sumieniu tyle występków i nieprawości, że od tego grzechu możemyjeszcze uwolnić. Fakty są bowiem takie: do 1989 r. budżet ZUS był całkowicie zrównoważony, tzn. składki — o wiele zresztą niższe niż obecnie — wystarczały w pełni na bieżące wypłaty świadczeń. Problemy zaczęły się potem — miały dwa główne źródła.

DEMOGRAFIA: CZYNNIK NAJMNIEJ ISTOTNY

Pierwszym stał się gwałtowny przyrost liczby świadczeniobiorców, wywołany świadomą polityką rządu, pragnącego poprzez odsyłanie części załóg na tzw. wcześniejsze emerytury zwolnić miejsca pracy i tym samym złagodzić rozmiary bezrobocia. Nie jest tajemnicą, że na renty tzw. III grupy odsyłano wówczas praktycznie każdego kto tylko złożył wniosek, a na podstawie uzyskanych w ten sposób orzeczeń o „niezdolności do pracy" przesuwano następnie ogromne rzesze na „zasłużony odpoczynek". Traktowane dawniej jako „szczególny *i wyjątkowo stosowany przywilej*, wcześniejsze emerytury obejmują obecnie 2/3 zatrudnionych, a np. w 1992 r. 86 proc. mężczyzn przeszło na emeryturę przed ukończeniem ustawowego 65 roku życia. Od 1980 r., czyli w ciągu ostatnich 15 lat, liczba osób w wieku rzeczywiście poprodukcyjnym (mężczyźni powyżej 64 lat, kobiety powyżej 59) zwiększyła się w Polsce nieproporcjonalnie wolniej (z 4,2 mln do 5,1 mln, czyli zaledwie o niecały milion) niż ilość przyznanych świadczeń. To kolejny dowód, że nie przemiany demograficzne, lecz polityka społeczna wykreowała w tym czasie kilka milionów emerytów.

BOMBA PODŁOŻONA POD BUDŻET

Drugim źródłem perturbacji systemu emerytalno-rentowego stała się przyjęta w 1989 r. metoda rekompensowania inflacji, czyli tzw. waloryzacji świadczeń. Nie wdając się w jej zawiłości, skonstatujmy, że w rezultacie zapoczątkowała ona gwałtowny wzrost wysokości emerytur i rent w stosunku do płac (zob. tab. 1). Aby powstrzymać ten nienormalny trend, w 1991 r. zaproponowano obniżenie podstawy waloryzacji do poziomu 91 proc. tzw. kwoty bazowej. Taki był początek problemów, które obecnie przerabiane są przez trzecią już z kolei ekipę rządową i stanowią oś konfliktu Kołodko–Miller.

Zaznaczmy przy tej okazji, że to właśnie Sojusz Lewicy, jeszcze jako ugrupowanie opozycyjne, lansował rozwiązania najbardziej korzystne dla emerytów, a jednocześnie najbardziej kosztowne dla budżetu państwa. Ministrowie SLD mają więc obecne kłopoty poniekąd na własne życzenie.

Gwałtownie rosnąca liczba emerytów i rencistów pobierających coraz to wyższe świadczenia, doprowadziła w ostatnich latach do ostrego deficytu w finansach ZUS i lawinowego przyrostu niezbędnych w tym stanie rzeczy dotacji budżetu państwa (zob. tab. 1). Działo się to mimo szybko rosnącej wysokości składek, obecnie wynoszących 45 proc. płacy (w latach 1989–93 składka na ZUS wzrosła o 10 pkt. procentowych; jeszcze w latach 70. wynosiła zaledwie 15 proc.). Dotacje do funduszu ubezpieczeń społecznych to w obecnym roku ponad 20 proc. wszystkich wydatków państwa, a same emerytury pochłoną 15 proc. produktu krajowego brutto. Utrzymywanie dotychczasowych rozwiązań, według zgodnej opinii wszystkich bodaj ekonomistów, doprowadziłoby w ciągu najbliższych 2–3 lat do całkowitej katastrofy budżetowej.

Tabela 2

Przeciętne miesięczne wydatki na 1 osobę w gospodarstwach domowych w 1993 r. (w mln zł)

pracowniczych	1,6
chłopo-robotniczych	1,3
rolniczych	1,5
pracujący na własny rachunek	2,1
emerytów i rencistów	1,9
innych	1,1

Źródło: GUS i ustawa budżetowa

W ostatnich kilku latach doprowadzono ponadto rozmaitymi doraźnymi posunięciami do takiego chaosu, że aktów prawnych dotyczących emerytur powstało co najmniej kilkanaście, a wysokość otrzymywanych świadczeń przestała mieć związek ze stażem pracy i wysokością wcześniejszych zarobków. Zasadniczym kryterium w ustalaniu kwoty wypłacanych świadczeń stał się termin ich przyznania, co prowadzi do permanentnego odradzania się osławionego „*starego portfela*".

Drugim z najczęściej spotykanych stereotypów dotyczących sytuacji emerytów i rencistów jest slogan o postępującym ubożeniu tej grupy społecznej. Nie znajduje on potwierdzenia przy porównaniu z innymi grupami. W ub. roku wydatki na jednego członka rodziny emerytów i rencistów ustępowały jedynie wydatkom w rodzinach prywatnych przedsiębiorców (zob. tab. 2) i przewyższały możliwości finansowe wszystkich innych kategorii gospodarstw domowych. Standard życia emerytów i rencistów podnosi się wraz ze stopą życiową całego społeczeństwa (zob. tab. 3), choć nie we wszystkie dobra są oni wyposażeni w tym samym stopniu co inne rodziny. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że emeryt zwykle nie jest obciążony utrzymaniem innych osób niż on sam, co przecież jest regułą w każdej pozostałej kategorii rodzin i gospodarstw domowych, choćby z racji posiadania nieletnich dzieci.

JEDNI PŁACĄ, INNI KORZYSTAJĄ

Trzecie z nieporozumień powstałych wokół systemu emerytalno-rentowego związane jest z używaniem określenia „ubezpieczenia społeczne". Jak już wspomniano, wysokość świadczeń nie ma obecnie niemal żadnego związku z wysokością poprzednich zarobków i stażem pracy. Nie ma tym samym odniesienia do sumy wniesionych składek, a więc kwotą „ubezpieczenia".

Obecnie emerytury i renty są wypłacane z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych bądź Funduszu Emerytalno-Rentowego Rolników. Ten pierwszy jest zasilany tylko w 65 proc. ze składek pracowników, ten drugi praktycznie w całości opłacany jest przez budżet, bo składki pokrywają jedynie 6 proc. wydatków. Świadczenia emerytalne dla rolników *stanowią więc w istocie finansowanie* przez budżet przemian w strukturze demograficznej i agrarnej polskiej wsi. Można się spierać o to czy podatnicy miejscy powinni niemal w całości pokrywać koszty tych procesów, a więc brać na utrzymanie („dożywocie") najstarszych rolników, ale to temat na inną dyskusję.

Do tego trzeba dodać, że nie każdy z zatrudnionych poza rolnictwem płaci składkę na ZUS, a więc w istocie wielu pracowników jest „ubezpieczonych" przez innych. Dotyczy to nie tylko osób zatrudnionych na umowy-zlecenia i inne formy niepełnoetatowe, co ma zresztą ukrócić przyjęta ostatnio ustawa o rozciągnięciu na nich obowiązku składkowego. Ze świadczeń na rzecz ZUS zwolnione są zupełnie legalnie tzw. służby mundurowe (wojsko, policja, więziennictwo), skądinąd dodatkowo uprzywilejowane co do warunków uzyskiwania i wysokości świadczeń. Nieformalnie ze specjalnych przywilejów korzystają z kolei przedsiębiorstwa, które z rozmysłem i cynicznie zaniechały odprowadzania stosownych opłat, licząc — nie bezpodstawnie — na pobłażliwość państwa. W ub. roku zaległości wobec ZUS przekroczyły 30 bln zł i nie trzeba chyba dodawać, że na czele listy dłużników znajdują się mastodonty socjalistycznego sektora gospodarki: kopalnie, huty, fabryka traktorów. Żadnych składek nie płacą, oczywiście, zatrudnieni „na czarno".

OPIEKUŃCZOŚĆ NA KREDYT

Zestawienie cytowanych powyżej faktów i danych wyraźnie wykazuje, że wbrew powszechnym mniemaniom w zakresie ubezpieczeń społecznych, a już zwłaszcza szczodrobliwości systemu emerytalno-rentowego, rządy „solidarnościowe" realizowały model państwa opiekuńczego w dużo szerszym zakresie niż ekipy „realnego socjalizmu". Niektórzy mogą to uważać za zjawisko pozytywne i korzystne, inni za niewłaściwe i zgubne. Jedno nie ulega wątpliwości: obecne funkcjonowanie tego systemu nie zadowala już nikogo spośród bezpośrednio zainteresowanych — ani płacących coraz wyższe składki pracowników, ani wiecznie pomstujących na zbyt niskie (w ich mniemaniu) świadczenia klientów ZUS, ani rządowych strażników budżetu państwa, zmuszonych przydzielać coraz większe dotacje do funduszy ubezpieczeń społecznych. „Przyjaciele ludu" forsują stale nowe przywileje emerytalne i rentowe, a ekonomiści zgodnie biją na alarm, że już wkrótce budżet państwa załamie się pod obciążeniami na rzecz niepracujących.

Wszyscy, poza politycznymi demagogami, zgadzają się co do kierunku niezbędnych zmian: należy zaostrzyć, a właściwie urealnić kryteria przyznawania świadczeń, bo dotychczasowe doprowadziły do tego, że mamy najwięcej i najmłodszych emerytów i rencistów w Europie. Także w najgłębszym interesie osób pracujących po kilkadziesiąt lat i osiągających wiek emerytalny oraz dotkniętych biologicznym kalectwem leży, aby przeznaczone dla nich świadczenia nie były przechwytywane przez zdrowych ludzi w sile wieku, nabywających stosownych uprawnień dzięki rozmaitym przywilejom oraz lukom lub kruczkom prawnym (nawiasem: kliniczny wręcz przykład manipulacji uprawnieniami rentowymi dał były komendant policji — gdy zdymisjonowano go przed kilku laty, komisja lekarska zapewniła mu wysoką rentę w oparciu o orzeczenie „trwałej niezdolności do służby"; gdy pojawiła się szansa powrotu na poprzednie stanowisko, sam zainteresowany oświadczył, że... czuje się już lepiej, a resortowi zwierzchnicy zaproponowali zweryfikowanie poprzedniego orzeczenia). 40 proc. rencistów stanowią tzw. inwalidzi III grupy, która to kategoria nie ma żadnego odpowiednika w krajach Unii Europejskiej i powinna być anulowana; pozostałyby jedynie orzeczenia o trwałej lub czasowej niezdolności do pracy, wykluczające możliwość zatrudnienia. Należy też przywrócić, wciąż formalnie obowiązujący, ustawowy wiek emerytalny: 65 lat dla mężczyzn i 60 dla kobiet. Wyjątki mają się stać pojedynczymi przypadkami, a nie regułą (niedawno w jednym z pism ukazał się, pełen standardowego narzekania na warunki życia, list czytelniczki, zaczynający się od słów: „mam 52 lata i jestem emerytką"... Co sądzić o państwie, które pozwala ludziom w sile wieku kończyć karierę zawodową i przechodzić bezczynnie na państwowy garnuszek, z czego rodzą się frustracje i kompleksy?).

POTKNIĘCIE PRZY PIERWSZYM KROKU

Poprzednia ekipa rządowa przygotowała projekt stosownych zmian. Emerytury i renty miały zostać odłączone od innych świadczeń społecznych i finansowane osobno, a nie z jednej kasy ZUS. Kryteria ich przyznawania proponowano zaostrzyć w przedstawionym powyżej kierunku. Wysokość emerytur zamierzano bezpośrednio powiązać z długością okresu zatrudnienia i wysokością płaconych w tym czasie składek, co przywróciłoby realny sens pojęciu „ubezpieczenia" (i co nie mniej ważne ukróciłoby praktykę zaniżania składek). Przewidziano możliwość dodatkowych ubezpieczeń indywidualnych w instytucjach komercyjnych.

W ministerstwie pracy i polityki socjalnej działa nadal komisja do spraw reformy prawa pracy i ubezpieczeń społecznych. Obecna ekipa rządowa deklaratywnie i formalnie akceptuje przygotowane w poprzednich latach koncepcje zmian. „Strategia dla Polski" w punkcie poświęconym „zabezpieczeniom społecznym" przewiduje zmniejszenie liczby osób przechodzących na emerytury poprzez ograniczenie możliwości wcześniejszego nabywania stosownych uprawnień, zwiększenie wymaganego (minimalnego) okresu zatrudnienia, zmianę zasad płacenia składek, indywidualizację wysokości pobieranych świadczeń, wprowadzenie dodatkowych (komercyjnych) funduszy emerytalnych, zamianę znacznej części rent inwalidzkich na dotacje do rehabilitacji zdrowotnej i aktywizacji zawodowej niepełnosprawnych. Takie same deklaracje złożył obecny rząd polski w specjalnym memorandum przedstawionym niedawno Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu. Jak łatwo zauważyć, projektowane zmiany w większości punktów oznaczają anulowanie wielu dotychczasowych uprawnień i przywilejów, a takich posunięć nie akceptuje żadna zainteresowana grupa społeczna. Problem emerytur i rent, z racji wspomnianej na wstępie podatności na wszelką demagogię i mitologizację, stanowi stały element rozmaitych kampanii politycznych. Jak dotąd, nie tylko nie udało się wprowadzić żadnych zmian, ale nawet poszerzono zakres dotychczasowych, tak krytykowanych rozwiązań. W 1991 r. ówczesna opozycja, pod wodzą SLD, przeforsowała nawet w Sejmie przywrócenie tzw. dodatków branżowych, będących klasycznym reliktem socjalizmu; na szczęście ustawę zawetował wówczas prezydent. Niedawno socjal-ludowa ekipa rozciągnęła natomiast górnicze ekstra-przywileje emerytalne na „naziemnych" pracowników kopalń. Ostatnio minister Miller przeforsował utrzymanie płacowej waloryzacji świadczeń.

W „Strategii dla Polski" określono zmianę zasad waloryzacji świadczeń jako pierwszy krok szeroko zakrojonej reformy systemu emerytalno-rentowego. Jako główne zagrożenie dla takiej reformy wymieniono „brak woli lub możliwości politycznej przeprowadzenia przedstawionych zmian". Jak się okazało, z tego właśnie powodu postawienie owego pierwszego kroku okazało się niemożliwe. Czyżby zatem cała reforma po raz kolejny *została zaniechana* pod presją czynników politycznych? □

Tabela 1

	1985	1989	1990	1991	1992	1993	1994 (prognozy i plany)
Liczba emerytów i rencistów (w mln osób)	6,1	6,8	7,1	7,9	8,5	8,7	ok. 9
Liczba płacących składki na ZUS (w mln osób)	14,0	14,7	14,1	13,6	13,2	12,7	12,5
Relacja przeciętnej emerytury do przeciętnej płacy (w proc.)	60	53	65	76	72,5	71,5	?
Dotacja do funduszu ubezpieczeń społecznych (w bln zł)	—	2,3	16,3	35,1	72,0	104,2	140,9

Źródło: GUS i ustawa budżetowa

Wyposażenie gospodarstw domowych emerytów i rencistów w niektóre dobra trwałego użytku (w szt. na 100 gospodarstw)

	1989	1993
TV kolor	21	64
magnetowidy	1	20
magnetofony	4	13
pralki automatyczne	27	42
zamrażarki	9	22
samochody osobowe	9	19

Źródło: „Mały rocznik statystyczny GUS", 1994

KOMENTARZE

Cmentarz, którego nie będzie?

Ekipa polska, która po tak długich staraniach i tak wielu trudnościach rozpoczęła wreszcie prace ekshumacyjne w Lesie Katyńskim, doniosła na dniach, ku ogólnemu osłupieniu, iż prawdopodobnie nie ma już ciał pomordowanych Polaków pod ziemią Lasu. Kopiący natrafiają tylko na szczątki polskiego umundurowania, potwierdzające raz jeszcze, iż tu grzebano ofiary po egzekucji. Wielki cmentarz roku 1940 — chwilowo i częściowo tylko odkryty przez Niemców w roku 1943 dla celów propagandowych — został, wydaje się, zlikwidowany przez władze radzieckie w niewiadomym czasie po wojnie. I nikt nie wie, co stało się z ciałami ofiar.

Jeśli ta prawda potwierdzi się ostatecznie, trzeba będzie powiedzieć sobie, iż dobra wola Polaków, w tym heroiczne przebaczenie udzielone przez Rodziny Katyńskie i wszystkie sygnały gotowości do pojednania, wystawione zostały na próbę najcięższą z dotąd znanych. Wszak nadzieja na odnalezienie zwłok polskich oficerów, nadzieja na utworzenie miejsca, gdzie będzie można modlić się i wspominać nad mogiłami, była nadzieją na bolesne, ale przynajmniej godne zadośćuczynienie. Nikt jej dotąd nie rozpraszał, żadna kolejna władza nie dezawuowała, stwarzając co najwyżej trudności formalne. Teraz okazuje się, że była to nadzieja próżna. Że rodzinom ofiar i nam wszystkim nie zostałby nawet cmentarz na podobieństwo Oświęcimia, gdzie prochy pomordowanych rozsiane są w każdym skrawku ziemi obozowej. Jest to tak, jak by zło raz jeszcze odezwało się i ugodziło — po pół wieku czajenia się. Jak mu się przeciwstawić, czym odpowiedzieć?

JÓZEFA HENNELOWA

Tajemnica tajemnicy

PRL-owska wersja ustawy o tajemnicy państwowej traktowana bywała przed 1989 rokiem „gumowo", umożliwiając karanie niepokornych dziennikarzy i ukrywanie nadużyć rządzących. Teraz ma być inaczej, ale kierunek zmian nie wygląda ciekawie.

Pomińmy odrzucenie nieprecyzyjnie sformułowanej poprawki umożliwiającą dziennikarzowi ujawnienie tajemnicy, gdy „*wymaga tego ważny interes społeczny*". Owszem, można się obawiać, że brak ustawowych gwarancji dających mediom prawo ujawnienia przestępstwa stanowi zagrożenie wolności słowa, ale też można założyć, że w takim przypadku redakcjom będzie opłacać się nawet złamanie prawa i ujawnienie tajemnicy (ta bowiem nie może chronić przestępstwa).

Niepokojący aspekt nowej ustawy polega na 71 mniej lub bardziej precyzyjnych formułkach stanowiących, co jest tajemnicą państwową („ściśle tajne" i „tajne"), a co służbową (tu pojawia się ów „interes publiczny"). Można z pewnymi wyjątkami — zaakceptować obostrzenia tyczące wojska czy policji. Za to skandalem są ograniczenia związane ze stanem gospodarki (tajemnicą są m.in. „*Prace badawczo-rozwojowe o szczególnie ważnym znaczeniu dla interesu państwa, zlecone przez naczelne i centralne organy państwowe*" — czyli np. to, gdzie będą budowane autostrady czy elektrownia jądrowa). A już na kiepski żart wygląda przyznanie urzędnikom nawet niskich szczebli prawa do zasłaniania się tajemnicą służbową, której zakresu nie precyzują żadne formułki.

Jeszcze jedno: odpowiedzialny za ujawnienie tajemnicy państwowej będzie dziennikarz, nawet jeżeli ujawni mu ją urzędnik. To nieporozumienie, gdyż powołanym do chronienia tajemnicy — wedle zachodnich norm — jest urzędnik, a nie pośrednicy. Poza tym prasowe przecieki są często jedynym świadectwem nieszczelności urzędów. Jeśli media nie będą ich mogły ujawniać, to przecieki nie znikną, tyle tylko, że staną się tematem nie prasowych alarmów, ale pożywką dla korupcji.

I na koniec lista tych nieprecyzyjnie zakreślonych tajemnic powstawała już w czasach poprzednich premierów, od Bieleckiego począwszy. Kształt najbliższy do uchwalonego osiągnął za czasów rządu Hanny Suchockiej, której klub dziś głosował — i słusznie — przeciwko tak restrykcyjnej wersji ustawy. Jak wiadać, niezależnie od orientacji politycznej, każdy rząd chce więcej tajemnicy, bo to po prostu daje więcej władzy.

WITOLD BEREŚ

Haitańskie memento

Dobrze, że operacja „przywracania demokracji" na Haiti rozpoczęła się bez strzałów i przelewu krwi. Dobrze, że udział Polski w tej akcji ma być symboliczny. Dobrze, że prezydent Wałęsa uświadomił prezydentowi Clintonowi, że historycznie Haiti źle się Polakom kojarzy — z popiołami nadziei z epoki napoleońskiej, z wyzyskaniem i zdradą.

Obecna akcja na Haiti ma jednak mandat ONZ, nie jest kolejną karną ekspedycją amerykańską, choć z pewnością służy interesom Stanów Zjednoczonych w tym rejonie świata, który dla Ameryki jest „bliską zagranicą".

Clintonowska prośba o udział Polaków w akcji na Haiti przypomniała, że nowe sojusze, o które zabiegamy już jako państwo suwerenne, coś znaczą, do czegoś zobowiązują, coś kosztują. Nie wiadomo, co niesie przyszłość: co praktycznie oznaczać będzie nasz udział w NATO, do jakich akcji sojuszniczych będzie się nas jeszcze zapraszało. Ale skoro po roku 1989 odrzuciliśmy wariant polityki neutralizmu i dążymy — jak sądzę, słusznie — do pełnej integracji ze strukturami współdziałania z Zachodem, nie możemy udawać naiwnych, którzy chcieliby zarazem zjeść i zachować przysłowiowe ciastko.

ADAM SZOSTKIEWICZ

Rosja znów ostrzega NATO

Rzecznik rosyjskiego MSZ-u, M. Diemurin w specjalnej nocie skierowanej do państw-członków Sojuszu Atlantyckiego ostrzegł, iż ewentualne rozszerzenie NATO o Polskę, Węgry, Czechy i Słowację może wywołać kryzys na kontynencie europejskim. Ów kryzys miałby dotyczyć stosunków między wspomnianą czwórką a innymi państwami postkomunistycznymi, których wejście do NATO nie wchodzi na razie w grę. Wspomniana nota była reakcją na niedawne wystąpienia wiceprezydenta USA A. Gore'a oraz niemieckiego ministra obrony V. Rühe przychylne wobec polskiego członkostwa w NATO. Rzecznik nie powiedział, o które to państwa tak bardzo martwi się rosyjski MSZ. Czyżby o Rumunię, Bułgarię, Litwę i Ukrainę? Ale przecież wszystkie te cztery kraje wzięły ostatnio na terenie Polski udział w wojskowych manewrach „Partnerstwo dla pokoju", na które Rosja podobnie jak prezydent Jelcyn na rocznicę Powstania Warszawskiego „nie dojechała".

Pomimo tych dochodzących z Moskwy sygnałów, polska karawana musi jechać dalej. Nasza dyplomacja odniosła spory sukces w ramach tzw. Trójkąta Weimarskiego. Na spotkaniu trzech ministrów spraw zagranicznych (Francji, Niemiec i Polski) w Bambergu koło Norymbergi Andrzej Olechowski uzyskał od swych zachodnich kolegów zapewnienie, że ich kraje poprą starania Polski o udział w strukturach NATO. Wydaje się, że taka alternatywa: z jednej strony ostrzegające odgłosy z Rosji (już nieco zdewaluowane, bo za częste), z drugiej strony, coraz bardziej przychylne (dzięki Niemcom) nastawienie wobec Polski krajów NATO, zachowa swą ważność do końca tego wieku. Głównym problemem nie jest dzisiaj opinia rosyjskiego MSZ, lecz stan polskiej gospodarki. NATO bowiem ubogich krewnych nie potrzebuje. Polska zaś gospodarka za dwa-trzy lata będzie musiała współpracować z rosyjską. Z tego powodu los tamtejszej reformy ekonomicznej jest ważniejszy dla Polski aniżeli ton głosu, choćby i najbardziej „zatroskany", moskiewskich *czynowników*.

GRZEGORZ PRZEBINDA